

ANDRZEJ SIKORA

DIABLE ZIELE



Andrzej Sikora

DIABLE ZIELE

Andrzej Sikora

Diable ziele

© Copyright by haveanicEbook.pl

ISBN 978-83-64820-06-9

Redakcja
Katarzyna Kłoś

Korekta
Liliana Skolimowska

Projekt okładki
Tomasz Toruński & haveanicEbook.pl

Skład i łamanie
Katarzyna Kłoś

Wydawca

Wydawnictwo Internetowe haveanicEbook.pl
www.haveanicebook.pl
kontakt@haveanicebook.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie II 2015

Bywa, że leży gdzieś zwykły kamień, a wokół niego rozgrywa się jakaś dramatyczna akcja. Jest przenoszony z miejsca na miejsce, docierają doń rozmaite dźwięki, lecz on sam może być jedynie biernym odbiorcą przeróżnych bodźców. Karolek był jak ten kamień. Nie wiadomo, jak długo to trwało ani co się z nim działo. Tylko w przebłyskach świadomości słyszał coś, czego jednak nie rozpoznawał. Prawie wszystko było mu obojętne oprócz silnego bólu, bezlitośnie wdzierającego się do jego świadomości niczym nachalny intruz, wobec którego był zupełnie bezbronny. Czas przebiegał jakby obok, a jego trzynastoletni nieopierzony i wystraszony duch wciąż nie mógł zdecydować się, czy zmasakrowane ciało Karolka ma nadal służyć mu za przytułek. Niekiedy tylko wychylał z niego głowę i rozglądał się trwożliwie, ale nie potrafiąc podjąć decyzji, dochodził do wniosku, że lepiej będzie jeszcze tam pozostać. Podczas jednej z takich prób Karolek usłyszał jakiś znajomy dźwięk i wytężył uwagę. Był to głos matki, która głośno łkając, powiedziała z żalem:

– Ale się narobiło... Boże, ale się narobiło.

Chciał coś odpowiedzieć, pocieszyć ją, ale wiązało się to z wysiłkiem zbyt dużym jak dla niego. Zresztą i tak głos matki zaraz zaczął się oddalać, stawać nieważny i ponownie wstąpiła weń ta pustka zubożniająca wszystko. Od tej chwili seanse odbioru bodźców z zewnątrz powtarzały się co pewien czas, a nawet stawały się coraz dłuższe. Za którymś razem zdobył się na wysiłek i powiedział:

– Mamo.

Dźwięk, jaki wydał, był cichy i niewyraźny. Miał przy tym wrażenie, że ma zamurowane usta. Wskutek tego wysiłku natychmiast nasilił się ból głowy i pojawił się dokuczliwy szum. Chciał to samo słowo wymówić jeszcze raz, głośniejsze i wyraźniej, ale wypadło to tak samo źle i jego łączność ze światem zerwała się ponownie na wiele godzin. Kiedy ocknął się znów, było cicho. Leżał bez ruchu i usiłował zrozumieć, co się stało. Bolała go twarz i lewa dłoń. Właściwie bolało go wszystko, nawet oczy. Chciał je otworzyć, lecz przeszkadzało mu coś na twarzy. To był dziwny ból. Nigdy takiego nie odczuwał. Chciał dotknąć prawą ręką nosa, ale

nie mógł sięgnąć, bo zwiększał się ból, głównie lewej dłoni. Ki diabeł?” – pomyślał, wysilając pamięć. „Byłem w szkole...” – przypomniał sobie. – „Odpowiadałem z historii... Później bawiłem się z chłopakami... W lesie znaleźliśmy pocisk... Wykręciliśmy zapalnik... Nie, to niemożliwe... Przecież ja żyję, więc to niemożliwe...”.

Leżał jakiś czas bez ruchu z prawą dłonią na piersiach i usiłował zrozumieć, co się z nim dzieje. Denerwowało go, że nie pamięta, co robili po wymontowaniu zapalnika z pocisku. Znow spróbował dotknąć twarzy, ale nie zdołał sięgnąć dalej niż do brody. Zaczął obmacywać lewe przedramię. Było bardzo grubo obandażowane. Przesuwał po nim prawą dłoń w dół i w górę, przebierając delikatnie opuszkami palców. Nagle spotkało go zaskoczenie. Ręka była wyraźnie krótsza, niż powinna. „Niemożliwe” – pomyślał. – „Przecież wyraźnie czuję ból w lewej dłoni..”. Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi, później czyjeś kroki i jakieś brzęczenie.

– Temperaturka, panowie – powiedział kobiecy głos.

Zaczął zastanawiać się, kto to może być i czy przypadkiem nie zna tego kogoś, ponieważ głos był podobny do głosu pani Głowackiej, nauczycielki fizyki. „Ale o jaką temperaturę chodzi?” – myślał. – „I do kogo to było powiedziane?” Nic nie rozumiał, zresztą myśli jego jakoś dziwnie biegały i co chwilę zajmowały się coraz to innymi sprawami, a on w ogóle nie umiał nad tym zapanować. Poczuł, że ktoś poprawia mu pościel.

– Ten nieborak dalej nieprzytomny – powiedziała ta sama kobieta tuż przy nim. „To nie pani Głowacka” – pomyślał i w tej samej chwili poczuł, że ktoś porusza bandaż na jego twarzy i wkłada mu w usta jakiś cienki i śliski przedmiot. Chciał wyjaśnić, że jest przytomny, ale znow ogarniało go to samo odrętwienie. Zaczął jęczeć, żeby w ten sposób wyłagać jakąś pomoc.

– No co, dziecko? Musi boleć – powiedziała kobieta ze współczuciem. – Jesteś ranny... Wiadomość, że jest ranny, potwierdziła jego podejrzenia i zaczął płakać ze strachu, z żalu i z cierpienia. Podczas płaczu jego ciało wstrząsało się, powodując nasilenie bólu.

– Poczekaj, mały, poproszę pana doktora. Może da ci coś na ten ból – dodała.

Teraz już nie miał wątpliwości co do swojej sytuacji. Leżał i płakał, opatrunek na twarzy stawał się coraz bardziej mokry, a łzy coraz bardziej piekące.

Od tej chwili zaczęły się dla Karola złe dni. Był już cały czas przytomny i musiał znosić silne bóle. Dostawał zastrzyki uśmierzające, ale niewiele to pomagało. Następnego dnia udało mu się dokładnie obmacać lewe przedramię i oszacować sytuację. Nie miał dłoni. Gdy zmieniano mu opatrunek na twarzy, chciał tę rękę obejrzeć, ale miał tak opuchnięte powieki, że mimo wysiłków nie mógł otworzyć oczu. Przez zamknięte powieki widział jedynie, że w pokoju jest widno. Domyślił się, że ma poparzone albo uszkodzone powieki i to uniemożliwia mu ich otwarcie. Ogarnęła go obawa, że zrosną mu się i będzie następny kłopot. Tego samego dnia znów usłyszał koło siebie płacz matki. Przyszła wraz z ojcem, siostrą bliźniaczką Renatą i o trzy lata starszym bratem Markiem, który był ulubieńcem ojca. Karolowi było przykro, że ojciec traktuje Marka wyraźnie lepiej niż pozostałą dwójkę. Przyszli całą czwórką i byli bardzo mili. Nawet ojciec ani trochę nie okazywał zwykłej surowości. Nie dogadywał, nie dokuczał i nie mówił nic przykrego. Widząc, że syn już odzyskał przytomność, mama opanowała płacz i wszyscy starali się stwarzać miłą atmosferę, ale wychodziło to sztucznie.

Karolek od rana myślał o wydarzeniach poprzedzających wypadek. Wraz z Jurkiem Adamskim był w lesie na Piaskach. Bywał tam często, ponieważ na Piaskach mieszkali jego dziadkowie. Rodzice Karola też kiedyś tam mieszkali, ale z niewielkiego gospodarstwa nie mogła utrzymać się cała duża rodzina i dzieci wyniosły się ze wsi. Mama z ojcem do pobliskiego miasteczka, Dębówka, gdzie później urodził się Karol. Młodsza siostra mamy, Jola, do Warszawy. Brat mamy, Michał, został na piaskach i zajmował się gospodarstwem. Później jednak powołano go do wojska, tam został zawodowym podoficerem i tak dziadkowie pozostali sami. Karolek lubił Piaski, miał tam kolegów i często do nich chodził. Owego dnia łąjąc z Jurkiem po lesie, znaleźli pocisk. Wiedzieli, że aby go rozbroić, należy wykręcić zapalnik. Ukryli więc go i zdecydowali przyjść z narzędziami. Tak też zrobili. Karolek dokładnie pamięta, jak poszli tam z ciężką torbą pełną kluczy i śrubokrętów. Było ich trzech: Jurek Adamski, Waldek Gutek, który w drodze dołączył do nich, i oczywiście Karolek. Wykręcili zapalnik i cieszyli się, że zrobili to niczym prawdziwi saperzy i unieszkodliwili to

draństwo. Tak powiedział Waldek: „To draństwo”. Tego jest pewien. Niestety, nie pamięta, co było dalej.

Podczas wizyty rodziców i rodzeństwa Karolek chciał kilka razy o to zapytać, ale za każdym razem zabrakło mu siły i odwagi. Była chwila, w której Marek wymienił imię „Waldek”, ale chyba ktoś go trącił lub energicznym ruchem coś pokazał na migi, bo łóżko nagle drgnęło i w tym samym momencie Marek zamilkł. Równocześnie Renata zaczęła popłakiwać, gdyż było słychać pociąganie nosem i cichutkie cieniutkie piśnięcie. Podczas tych odwiedzin Karolek właściwie nie rozmawiał. Miał jedynie świadomość ich obecności i słuchał ich zdawkowych rozmów. Tylko raz wymówił słowo „tak”, gdy ojciec zapytał, czy go bardzo boli. Ta wizyta była dla niego przyjemna, choć męcząca. To, że ktoś troszczy się o niego, nie przynosiło wprawdzie żadnej ulgi, ale podnosiło go trochę na duchu i dodawało sił. Parę razy zbierał się, żeby zapytać, co z jego oczami, czy nie zrosną mu się powieki i kiedy zdejmą mu opatrunek z twarzy, ale za każdym razem nie zdołał przełamać dziecięcej nieśmiałości, żeby wypowiedzieć to dręczące go pytanie.

Po pewnym czasie znów nasilił się ból nieistniejącej dłoni. Znów wyraźnie czuł go w palcach i w nadgarstku. Równocześnie napełnił go wielki żal, że nie ma dłoni, że jest kaleką. Chwilę pocieszał się, iż przecież ważniejsza jest prawa ręka, że brak dłoni to nie takie wielkie kalectwo, ale żal stał się tak głęboki, palący, wgrzający się w jego dziecięcą duszę, że nie pomogły żadne wysiłki i zaczął płakać. Wraz z nim płakały matka i siostra. Coraz bardziej utwierdzał się w podejrzaniach, że coś jest niedobrze z jego oczami. Podpowiadała mu to intuicja, a najbardziej świadczył o tym dotkliwy ból. Toteż często nawiedzała go myśl o najgorszym. Odpychał ją od siebie jak mógł, ale ona uparcie wracała. Wreszcie postanowił wyjaśnić tę sprawę. W tym celu unióśł nieco opatrunek i wsunął pod niego dwa palce, środkowy oraz wskazujący i delikatnie dotknął powiek. Były zamknięte. Spróbował je otworzyć i okazało się, że nie są sklezione i otwierają się normalnie. Wyraźnie czuł, że są otwarte. Z całą pewnością miał otwarte oczy, a jednak nie widział. Nie płakał, ponieważ jeszcze wierzył, że to coś przejściowego. Nie wyobrażał sobie, żeby zawsze miało tak być.

„Przecież to niemożliwe, żebym miał do końca życia być niewidomym. Przecież muszę chodzić do szkoły, muszę się uczyć” – myślał.

Ten argument nieraz go uwalniał od różnych obowiązków. Rzadko zdarzało się, żeby nie był skuteczny. Nie rozumiał tego, ale uważał, że konieczność chodzenia do szkoły uwolni go od bycia niewidomym. Jego dziecięca psychika odrzucała wszystkie inne możliwości. Odkrycie, że jest niewidomy, przeraziło go. Nie umiał zebrać myśli, żeby realnie ocenić swoją sytuację. Bał się tego, co będzie dalej. Pamięć podsuwała mu rozmaite migawki z jego życia. W każdej z nich był jakiś niewidomy, którego kiedyś widział. Niewidomy siedzi na ulicy i gra na akordeonie, a koło niego leży blaszane pudełeczko na jałmużnę. Niewidomy z białą laską prowadzony przez starą kobietę. Niewidomy prowadzony przez psa. Niewidomy żebrzący pod kościołem... Nie wyobrażał sobie siebie w żadnej z tych ról, zwłaszcza że wszyscy ślepi, których widywał, byli starzy, a on przecież jest młody. Leżał w jakimś dziwnym półśnie, obojętny na wszystko, a cała jego świadomość ograniczała się do niekończącej się myśli o tym, że stracił wzrok, że wszystkie jego dziecięce marzenia i wyobrażenia o przyszłym życiu legły w gruzach.

* * *

Gdy letnie upały zaczęły się na dobre, wypisano go ze szpitala i rodzice zabrali go do domu. Wszystko już wiedział o swoim wypadku. Miał szczęście, bo Waldka nie udało się uratować, natomiast Jurek miał jeszcze większe szczęście. Widzi na jedno oko i ma obie ręce. Nic go już nie bolało, pod warunkiem, że nie dotykał wrażliwych miejsc; ale każde mocniejsze dotknięcie lub, nie daj Boże, uderzenie sprawiało mu silny ból. Musiał więc poruszać się bardzo ostrożnie. Karolek przed wypadkiem był wyjątkowo ładnym chłopcem. Był dosyć wysoki jak na swój wiek i szczupły. Miał gęste ciemnoblonde włosy, błękitne oczy i miłą buzię. Był też wysportowany, pełen energii i poruszał się zręcznie jak młody kotek. Wyglądał zawsze na nieco więcej lat, niż miał rzeczywiście. Był trochę nieśmiały. Zdawał sobie z tego sprawę i przeszkadzało mu to. Teraz jego wygląd nieco się zmienił. Lewa ręka

była odrobinę krótsza od rękawa koszuli, więc brak dłoni nie rzucał się w oczy, ale bliznę na twarzy było widać, mimo że częściowo zasłaniały ją okulary przeciwsłoneczne, które dała mu jakaś pani w szpitalu. Niestety, równie niekorzystne zmiany nastąpiły w jego psychice. Stał się bojaźliwy, mało aktywny, jeszcze bardziej nieśmiały niż dawniej i zupełnie gdzieś zapomniał się jego dawny optymizm i wiara w swoje siły.

Miłgosowie wraz z dziećmi mieszkali w bardzo małym i bardzo zniszczonym drewnianym domku na peryferiach Dębówka. Patrząc na ten zakątek, trudno było określić, czy to wieś, czy miasto. Niektórzy mieszkańcy mieli tu nawet kawałek ziemi, którą uprawiali. Powrót Karolka do domu wyzwolił instynkty opiekuńcze i uczucia przyjaźni większości sąsiadów i znajomych. Już następnego dnia rozpoczęły się gremialne odwiedziny bliższych i dalszych znajomych i sąsiadów, a nawet całkiem obcych, których łączyła z Karolkiem lub jego rodzicami zupełnie luźna znajomość. Przychodzili pod lada jakim pretekstem, niby do rodziców. W rzeczywistości wiodła ich zwykła przyziemna ciekawość, nieodparta chęć zobaczenia ślepego, nieszczęśliwego chłopca. Niektórzy byli tak bardzo poruszeni, że ledwo wyszli z mieszkania, idąc tuż pod oknami, dawali upust swojemu współczuciu, mówiąc z westchnieniem: „Jaki to los takiego chłopaka” lub: „Tęgi chłop byłby z niego, gdyby nie to kalectwo”. Niektórzy już w czasie odwiedzin, porozumiewając się na migi, wyrażali swoje ubolewanie. Karolek nie lubił tych odwiedzin. Wstydział się swojego kalectwa, a wszystkie objawy współczucia wywoływały w nim kompleks niższości. Właściwie to tolerował tylko odwiedziny szkolnych kolegów, ponieważ nie wykazywali nadmiernej opiekuńczości, ciekawość dobrze skrywali i zachowywali się naturalnie, jakby nic się nie stało. Zaprzyjaźnił się nawet z Pawłem Wrocławskim ze swojej klasy. Dawniej trochę nim pogardzał, chyba dlatego, że mieli odmienne charaktery i upodobania. Paweł nie grał w piłkę i mniej się łobuzował, za to czytał dużo książek i był w ogóle jakiś inny. Teraz przekonał się, że rozmowy z nim są bardziej interesujące niż z innymi kolegami. W końcu Karolek zapowiedział, że jak ktoś z dorosłych jeszcze przyjdzie go oglądać, to się schowa i nie wyjdzie, póki gość nie pójdzie. Wreszcie ojciec, z natury nieskory do współczucia, ujął się za nim, mówiąc:

– Łun ma racje. Renata już szkołę kuńczy, to niech se oba dzieciaki jadom na Piaski do babciów. Tam dalej do ludzi, to i widowisko będzie mniejsze.

Szkoła skończyła się trzy dni po wyjściu Karola ze szpitala. Pomimo że ostatnie tygodnie nie chodził do niej, dostał promocję do siódmej klasy i miał całkiem niezłe stopnie. Nazajutrz rano dziadek przyjechał furmanką, załadował go wraz z Renatą, mama dała im trochę ubrań i innych niezbędnych rzeczy i pojechali na wakacje do odległych o dwa kilometry Piasków. Karol lubił bywać u dziadków i dobrze się tam czuł. Bał się jednak, że na zewnątrz będą go zaczepiać jacyś obcy ludzie i na nalegania odpowiadał, że na podwórze nie ma po co wychodzić. W końcu wyszedł namówiony przez babcię, ubolewającą, że dziecko w ogóle nie bywa na powietrzu. Chodził po podwórku dziarskim krokiem, żeby nie pokazywać swego kalectwa. Mógł sobie na to pozwolić, ponieważ znał tu każdy zakamarek. Aż dziadek dziwił się, że tak świetnie sobie radzi. W pewnej chwili jednak potknął się o koryto dla kur, którego się nie spodziewał, gdyż zawsze stało gdzie indziej. Przewracając się, zdążył nawet pomyśleć: „Co za idiota coś tu położył”, ale nie zdążył złapać równowagi. Padając, podparł się jedynie prawą ręką, gdyż lewa jeszcze bardzo go bolała przy każdym mocniejszym dotknięciu. Podparcie było zbyt słabe i wpadł twarzą w świeżą krowią kupę. Część łajna dostała mu się do ust. Gdy wstał, plując i obcierając twarz, usłyszał na drodze za płotem czyjś śmiech. Ruszył szybko, mniemając, iż idzie w kierunku domu, ale stracił orientację i wszedł prosto w wielką kępę gęstych krzaków. Nie zawrócił jednak, lecz wdarł się w nie głęboko, drapiąc boleśnie twarz i dłoń i rozdzierając koszulę. Osunął się na kolana, nachylił się do przodu i zaczął płakać. Zaczęły przypominać mu się różne dawne przewinienia, których wspomnienie dręczyło go od pewnego czasu. Wprawdzie wiedział, że to niemożliwe, ale rodziła się w nim myśl, że nieszczęście, jakie go spotkało, to kara za grzechy, które dawniej popełnił. Przypomniało mu się, jak kiedyś wzięli szmaciany wiecheć i przywiązali go kotu do ogona. Wiecheć polali naftą i podpalili. Wystraszony kot zaczął gnać przed siebie jak szalony, aż w końcu wbiegł do stodoły przez niewielką dziurę. Za chwilę wypadł z niej, ale już bez wiechcia przy ogonie. Obserwowali to z daleka, ukryci w krzakach

tarniny, wystraszeni. Wszyscy pomyśleli wtedy o tym samym, a Janek wyszeptał niepewnym głosem:

– Chłopaki, czy tam się coś nie zapali?

– Polecę, zobaczę – zaproponował Jurek.

– Co ty, nie wliczysz przecież przez tę dziurę, co kot, a od podwórza to cię zobaczą – powiedział Karol z przejęciem.

Panowała taka cisza, że było słychać ich oddechy.

– Chyba jednak nic się nie zapaliło – powiedział Jurek po kilkunastu minutach.

Wycofali się z krzaków i poszli przez pola. Już prawie zapomnieli o całej sprawie, gdy Karol zauważył wydobywający się ze stodoły dym. Wtedy przestraszyli się nie na żarty. W pierwszym odruchu chcieli biec, żeby gasić, ale się bali, więc zaczęli się naradzać. Tymczasem dym gęstniał coraz bardziej. Zatrzymali się tylko na moment i zaraz pobiegli dalej, gdyż ogarnęło ich przerażenie i każdy z nich chciał jak najszybciej znaleźć się daleko od tego miejsca. Wiedzieli, że gdyby wydało się, że zrobili to oni, marny byłby ich los. Wiedzieli, że chłopci bardzo strzegli swojej własności i byli bezwzględni w razie jej naruszenia. Pamiętali, że chłopski pies zagryzł kiedyś chłopca, który zakradł się do sadu. Właściciel, widząc dziecko rwące owoce, spuścił psa, który dokonał egzekucji. Chłopci uważali, że nie warto karmić psa, który nie gryzie. Minęło kilkadziesiąt minut, nim usłyszeli syrenę jadącej do pożaru straży pożarnej. Stodoła była już cała w ogniu i nie dało się jej ugasić. Lali tylko wodę na dachy sąsiednich budynków, by nie dopuścić do rozprzestrzenienia się ognia. Karolek bał się wtedy, że Janek może wygadać, ponieważ był z nich najmłodszy. Żeby zabezpieczyć się, zapowiedzieli mu, że jeśli wygada, to będą musieli poderznąć mu gardło jak kogutowi. Karolek wyjął z kieszeni finkę i przyłożył Jankowi do gardła.

– Pamiętaj – powiedział groźnie, przyciskając ostrze do jego cienkiej, delikatnej szyjki.

– Chłopaki, co wy? – wyszeptał wystraszony Janek. – Nigdy w życiu!

Dla pewności kazali mu uklęknąć i przysięgnąć na własne życie.

Kot wyszedł z tej afery bez szwanku, ale zapamiętał to dobrze i od tej pory zawsze omijał ich z daleka. Tak samo Karolek wyrzucał sobie wszystkie psoty, które robił starej

Aurelii. Była to biedna, bezradna, samotna kobieta. Mówiono, że przed wojną mieszkała w Warszawie i była burżujką. Dom, w którym mieszkała, zburzyli Niemcy w czasie Powstania. W ten sposób straciła wszystko i nie mając gdzie się podziać, przyszła pieszo do Piasków. Tam zaopiekowała się nią biedna stara wdowa, która wkrótce umarła. Aurelia przed wojną była profesorką śpiewu. Nie lubiano jej we wsi, ponieważ była inna. Inaczej się wystawiała, inaczej ubierała i w dodatku podśpiewywała sobie arie operowe. Chłopi naśmiewali się z niej, a kiedy sobie popili, to ją przedrzeźniali i opowiadali przeróżne rzeczy o niej i o innych „burżujach”. Na przykład, że burżuje przed wojną żywili się krwią mas pracujących. Karolek nieraz wyobrażał sobie Aurelię ubraną w białą koronkową suknię, jaką kiedyś widział na obrazku, pijącą ludzką krew z kryształowego kielicha niczym wino.

Takie wyobrażenia miały swoje podstawy, bowiem cała wieś znała starego Kamyloka, który bił świnię. Odbywało się to zawsze zgodnie z tym samym rytuałem: Kamylok tuż przed biciem wypijał szklanekę wódki, następnie walił świnię specjalną maczugą w łeb, a gdy ta upadła, podstawiał miednicę i dźgał świnię nożem. Później szybko chwycił szklanekę, łąpał w nią krew i wypijał. Karolek kiedyś to widział. Kamylok nawet mu proponował, żeby się też napił, ale Karolek się brzydził. Wiejskie dzieci nieraz rozmawiały o burżujskiej przeszłości Aurelii albo straszyły nią młodszych od siebie, niczym Babą Jagą. Zastanawiały się też, skąd ci burżuje brali ludzką krew? I jak oni się nie brzydzili jej pić? Kiedyś któreś wysunęło przypuszczenie, że musiała to być krew przestępców skazanych na śmierć. Widocznie tę krew później rozwożono i sprzedawano burżujom. Prawdopodobnie burżuje pijąc krew przestępców, stawali się coraz gorsi i masy pracujące musiały ich obalić. Aurelia miała na nazwisko Starowiejska, lecz nikt tego nie pamiętał i wszyscy nazywali ją starą Aurelią. Dzieciaki z całej wsi ciągle jej dokuczały, nieraz chodziły za nią całymi gromadkami, parodiowały jej śpiew, małpowwały jej ruchy.

Dorośli ich nie ganili, uważając, że przecież dzieci muszą się jakoś bawić. Przeciwnie, czasem nawet je inspirowali. Karolek był autorem pomysłu z kotem. Jego żart miał tylko tyle wspólnego z Aurelią, że był to jej kot. Teraz, płacząc w krzakach, robił sobie wyrzuty z powodu wszystkiego, co obciążało jego sumienie. Chciał wraz z płaczem wylać wszystkie

nieszczęścia, jakie z jego winy spotkały kogoś i jego samego. Chciał ubłagać los, żeby mu darował, zmienił karę i pozwolił chociaż trochę widzieć. Po pewnym czasie usłyszał za sobą szelest krzaków. Była to jego siostra.

– Chodź – cicho powiedziała, biorąc go delikatnie za chorą rękę. Karol poszedł powoli za nią, rozgarniając gałęzie zdrową ręką. Teraz wiedział już dobrze, w której części podwórza znajdują się w tej chwili, ponieważ dawniej chował się tam w czasie zabawy w chowanego i przy innych okazjach.

– Pójdę już sam – powiedział szeptem, gdy wyszli z krzaków. Renata puściła jego przedramię i szła obok niego.

– Trochę w prawo – szepnęła, gdy byli już w połowie drogi.

Karolek zmienił nieco kierunek i usłyszał pokasływanie dziadka. Skierował się w tamtą stronę, domyślając się, że dziadek stoi na progu.

– Chodźcie, chodźcie – z wnętrza dobiegł babciny głos. – Dam wam coś dobrego.

Babcia mówiła spokojnie, uśmiechając się do dzieci, jakby w ogóle nic się nie stało. Weszli do kuchni i usiedli na ławie przy stole. Za nimi wszedł dziadek, lekko pokasłując i usiadł naprzeciw nich.

– Zgadnij, co będzie? – zapytała Renata, zwracając się do brata.

– Nie wiem. Pachnie jagodami, ale nie wiem, co to... Może pierogi? – odpowiedział i nawet uśmiechnął się trochę.

– Zgadłeś. Masz dobry węch – odpowiedziała zadowolona.

– Jak się jest ślepym, to węch się przydaje – gorzko odpowiedział.

– Dużo wam nie daję, bo jak się tera najeta, to potem nie będzieta chcieli obiadu – powiedziała babcia, stawiając na stole dwa talerze z całkiem sporą porcją pierogów.

* * *

Dom, w którym mieszkali dziadkowie, składał się z trzech izb. Przez drzwi wejściowe wchodziło się do niewielkiej sieni. Na wprost była kuchnia, na lewo pokój babci i dziadka, a na prawo pokój, w którym w czasie wakacji mieszkała Renata i Karolek. Była jeszcze jedna izba przylegająca do obory, w której w razie konieczności można było zakwaterować dodatkowo ze dwie albo i trzy osoby. W tym pomieszczeniu Karol spędzał dawniej dużo czasu, ponieważ czuł się tam swobodniej. Przyjeżdżając do babci na wakacje, właśnie tam często bawił się z kolegami. Stała tam duża rozkładana dwuosobowa kanapa, niewielka kozetka, szafa ubraniowa, stary kredens oraz koślawy stolik i dwa krzesła. To miejsce nazywał swoją bazą. Po zjedzeniu pierogów poszedł właśnie tam i zaczął sprawdzać, czy wszystko jest tak, jak było przed ponad półtora miesiącem, gdy zaglądał tu ostatnio. Otworzył szafę. Usłyszał, że drzwi bardzo skrzypią. Dawniej tego nie zauważał, teraz zaczął zwracać uwagę na każdy dźwięk. Obmacał po kolei zawartość każdej półki. Jak dawniej, były tam równo poukładane jutowe worki i robocze ubrania dziadka, a na samym dole butelki i słoiki. Później zajrzał do szuflady w stole i kwaśno się uśmiechnął, namacawszy swoją procę i parę okrągłych kamyczków. Przypomniało mu się, jak zrobił tę procę. Zainspirowała go do tego stara dętka od roweru, wisząca w szopie na kołku. Dokładnie pamięta, że wisały na tym kołku dwie podkowy i dętka. Zapytał dziadka, czy może część dętki wykorzystać do zrobienia procy? „Tak, ja ją trzymam na łatki, ale część możesz zużyć” – odpowiedział dziadek. Karolek wszedł wtedy w te same krzaki, co dziś i wyszukał odpowiednią gałąź, z której wystrugał widełki. Później kawałek dętki pociął na paski. Babcia dała mu skórzany język od starego buta i to było wszystko, co było potrzebne do zrobienia procy. Połączył te rzeczy zgodnie ze sztuką robienia proc i było z czego strzelać. Po znalezieniu procy usiadł na kanapie i zamyślił się nad jej bezużytecznością. Pod wpływem tego wspomnienia znów stanęły mu w oczach łzy, lecz je powstrzymał i poszedł sprawdzić zawartość kredensu. Było tam mnóstwo rozmaitych rupiec, które w domu były niepotrzebne, ale szkoda było je wyrzucić. Były też dziadka „instrumenty”, jak je babcia nazywała, które były potrzebne do napraw sprzętu

gospodarskiego i domowego. Znów usiadł na kanapie i zaczął myśleć, co mógłby tu robić, ale przyszła Renata i zaproponowała, żeby poszli na spacer.

- Nie, bo spotkamy kogoś i będzie wydziwiał – powiedział bez namysłu.
- Co ty?! Chcesz już zawsze siedzieć w domu? – skomentowała zmartwiona i dodała z lekkim zniecierpliwieniem:
- Niby dlaczego ma wydziwiać?
- Nie wiem – odparł mniej stanowczo.
- A może na próbę pójdziemy do kogoś? Może do Wandy...?
- Do Wandy? – zapytał zdziwiony, jakby nie wiedział o kogo chodzi.
- No, przecież chodzimy do jednej klasy...

Wanda podobała mu się zawsze, lecz nigdy nie zdradzał się z tym przed nią ani przed nikim. Teraz chętnie by poszedł, ale się wstydził.

- Nie wiem – odparł niepewnie.
- To mam iść sama? – spytała trochę niecierpliwie.
- No dobrze, niech będzie.
- Nie mów „będzie”, tylko będzie – poprawiła go. – Przecież wiesz dobrze...
- Ojciec też tak mówi – bronił się.
- Niech ojciec sobie tak mówi, a ty nie...
- Dobrze, dobrze – powiedział, podnosząc się z kanapy.

Pociągnęła go dość mocno za zdrową rękę.

Wyszli na zewnątrz i poszli w kierunku bramy.

- Poczekaj, powiem babci, że idziemy – powiedziała po przejściu kilku kroków, po czym go puściła i podbiegła do wejścia.
- Babciu! Idziemy do Milejków, do Wandy! – zawołała na cały głos.
- Nie drzyj się tak, ja przecie słysze... Tylko nie siedźta długo, bo obiad – zawołała.
- Tak, tak – odpowiedziała, idąc do Karolka, po czym wzięła go za rękę i poszli. Po przejściu kilku kroków brat wyrwał rękę z jej dłoni i szli jakiś czas, nie rozmawiając.
- Tylko pamiętaj, jak cię trączę, to wychodzimy – powiedział, gdy byli już niedaleko.

– Dobrze, niech będzie – odrzekła obojętnie.

Weszli na podwórko, poszli na tył domu i gdy dochodzili do drzwi, Karolek wymacał ławkę. Usiadł na niej i zaproponował, żeby siostra poszła po Wandę.

Renata weszła do wnętrza i po chwili wyszły obie.

– No cześć, Karol – Wanda powiedziała dosyć cicho i usiadła po jego lewej stronie. Z jej głosu można było wnioskować, że ucieszyła się z ich przyjscia. Karol schował chorą rękę za siebie, obawiając się, że koleżanka może go w nią trącić. Za moment poczuł, jak siostra siada z drugiej strony.

– Jak się czujesz po tej przygodzie? – zapytała Wanda.

– Normalnie – odpowiedział trochę speszony.

– A wiecie, że zmieni nam się pani od polskiego? – zagadnęła Wanda.

– Ja wiem – wyjaśniła Renata.

– Ja tam nic nie wiem i nie chcę wiedzieć – dość szorstko odpowiedział Karol i ruchem nogi trącił Renatę w kostkę.

– No tak, w czasie wakacji to nie ma znaczenia – skomentowała Wanda takim głosem, jakby chciała usprawiedliwić swoją niezręczność. W tej samej chwili z sieni dobiegł szelest kroków.

– Poczęstujcie się ciastem z jagodami... – powiedziała pani Milejkowa, podchodząc do nich. – Oj, potrzyмай, Wandziu, bo nie mam na czym go postawić – dodała i Karol postyszał, jak odchodzi. Za chwilę wróciła, przynosząc taboret. Postawiła go naprzeciw Karola i poprosiła córkę, by położyła na nim talerz.

– Ha, babcia zrobiła dziś pierogi. Też z jagodami – powiedział Karol, byle cokolwiek powiedzieć, byle nie wyjść na niemotę.

– Właśnie, trzeba korzystać, póki są w lesie – Wanda podtrzymała jagodowy temat.

– A ty, Karolku, lubisz jagody? – spytała mama.

– Jasne! – odpowiedział z radością.

– No, to smacznego! Cieszę się, że przyszliście... Korzystajcie z wakacji i odwiedzajcie nas – dodała, odchodząc.

Karol pomyślał, że pani Milejkowa jest bardzo miła, tak samo jak Wanda.

– Hi, hi! Myślę, że babcia nie daruje mi jutro i też będę musiała iść na jagody – powiedziała Renata, podśmiewając się, gdy tylko odeszła pani Milejkowa.

– A nie lubisz? – zapytała Wanda.

– Tak sobie... Wolę chodzić na grzyby – odparła bez entuzjazmu.

– No, ja też wolę zbierać grzyby, niż siedzieć w kucki przy jagodach – uznała Wanda.

– Ha, ha! – zaśmiał się Karol. – Ja tylko raz byłem z babcią, ale pożytku z tego nie było, bo więcej zjadłem, niż zebrałem.

– Ha, ha! – zaśmiała się Wanda. – To pewno babcia ci więcej nie proponowała, żebyś z nią chodził.

– Co ty. Proponowała, ale ja nie chciałem – odpowiedział wesoło.

* * *

Mijały tygodnie, a w życiu Karolka nie zmieniało się nic. Przywykł tylko trochę do swojej ślepoty i zmienił sposób poruszania się. Początkowo chodził z rękami wyciągniętymi do przodu, jak dawniej, kiedy z Renatą i innymi dziećmi bawili się w ślepą babkę. Taki sposób chodzenia był zły, gdyż przeważnie przedmioty, które spotykał na drodze były znacznie niższe i potykał się o nie, nie wyczuwając ich rękami. Nauczył się więc chodzić z rękami opuszczonymi i tylko zmienił trochę rodzaj kroku. Po prostu inaczej i dalej wyrzucał stopy do przodu, tak żeby kopnąć ewentualnie napotkany przedmiot, a nie potknąć się o niego, i móc w każdej chwili nagle się zatrzymać. Żeby iść szybciej, musiałby używać laski, a to było dla niego absolutnie nie do przyjęcia. Czasem odwiedzali go koledzy. Było to dla nich męczące, gdyż Karolek zwykle był mało aktywny w rozmowie i raczej ograniczał się do słuchania, a opowiadający, nie mając z nim kontaktu wzrokowego, nie miał pewności, że jest słuchany, ponieważ twarz Karolka nic nie wyrażała. Kiedy skończyły się wakacje, większość kolegów przestała się nim interesować, Renata wróciła do Dębówka, a on został u dziadków i od tej pory czas upływał mu prawie w zupełnej samotności, nie licząc towarzystwa babci i dziadka, który był człowiekiem o wyjątkowej dobroci, ale małomównym. Młoda natura Karolka żądała, żeby coś robił, cokolwiek, byle coś się działo. Czuł się jak podczas klasówki, kiedy czas płynie,

dzwonek coraz bliżej, a on jeszcze nic nie napisał. Często zastanawiał się, co mógłby robić, żeby nie nudzić się i być chociaż trochę użytecznym. W takich sytuacjach pchały mu się do głowy myśli dotyczące minionego czasu: „Co robiłem, jeśli się nudziłem?... Aha, szedłem do Waldka... No tak, przecież nie żyje... Biedny... Może nie biedny? Kto wie? Może dla niego lepiej...”?

Później myślał o Jurku. Ten wyszedł najlepiej i włączył się już w zupełnie normalne życie. Stronił od Karola. Karol wyraźnie to czuł, mimo że czasami z sobą rozmawiali. „Czyżby miał do mnie żal za wypadek?” – próbował jakoś to wytłumaczyć. – „Przecież niewypał znaleźliśmy razem... Wprawdzie mój był pomysł, żeby go rozbroić, ale z kolei Jurek zaofiarował swoje narzędzia..”. Karolek myślał o tym niechętnie. Wycierał policzki i starał się zmienić kierunek myślenia. Tak naprawdę, to do tej pory wciąż miał nadzieję, że w końcu odzyska wzrok, ponieważ wszystkie kłopoty, które do tej pory go spotykały, były czymś przejściowym. Kiedy rozlał wodę, wyschła. Skaleczył się, to się zagoiło. Dostał dwójkę, mógł ją poprawić. Nawet gdyby nie zdał do następnej klasy, to mógłby ją powtórzyć...

* * *

W ciepły październikowy wieczór Karol szedł wzdłuż płotu, szurając nogami i rozrzucając szeleszczące suche liście, ciągnąc kijkiem po sztachetach. Dawniej w ten sam sposób robił to byle patykiem. Podobał mu się terkot, jaki wytwarzał patyk. Była jednak zasadnicza różnica między tamtym terkotem a obecnym. Tamten był tylko dla samej przyjemności drażnienia psa za płotem. Teraz terkot miał znaczenie praktyczne. Pozwalał orientować się w położeniu. Dzięki temu będzie wiadomo, w którym miejscu skończą się sztachety i zacznie się siatka. Jak już zacznie się siatka, to trzeba uważać, bo kilkanaście kroków dalej rośnie przy płocie drzewo, które trzeba ominąć. Karolek od początku był wrogiem laski, ale uznał, że kijek to nie laska i wygląda że ktoś, ot tak dla zabawy trzyma go w ręce. Własnoręcznie wyciął w krzakach prawie metrowy kijaszek i zaczął z nim chodzić. Prędko przekonał się, że to niesłychana wygoda. Gdy skończyły się sztachety i zaczęła się siatka, trochę zwolnił i zaczął machać kijkiem przed sobą, tylko niekiedy pukając o płot.

Przeszedł jeszcze kilkanaście kroków i uderzył nim o drzewo. Ominął je i zadowolony poszedł dalej. Był zaproszony do Pawła Wrocławskiego na czternaste urodziny. Długo wahał się, czy ma tam pójść. Miał ochotę, ale się wstydził. W końcu namówiła go babcia. Chciała zaprowadzić go tam i później po niego pójść, lecz on uznał, że skoro się zdecydował, to pójdzie sam. Zna przecież drogę na pamięć, poza tym może pójść z kijkiem.

Rodzice Pawła prowadzili sklep, do niedawna jedyny w całej wsi. Karol nieraz bywał w tym sklepie, ale nigdy nie był u nich w mieszkaniu. Wiedział, że mieszkają w tym samym budynku, z tyłu za sklepem. Trafił do sklepu bez trudu, ale na podwórzu jeszcze nigdy nie był. Wszedł na podwórko przez furtkę obok budynku i szedł dalej, sunąc końcem kijka po ścianie. Czubkiem kijka wyraźnie wyczuwał chropowatość muru. Po chwili poczuł i usłyszał, że kijek puknął w blaszaną rynnę. Jednocześnie ściana skończyła się, więc skręcił i szedł kawałek wzdłuż drugiej ściany. Teraz należało tylko odnaleźć wejście. Spodziewając się, że będą schodki, szedł powolutku. Po paru krokach namacał schodek i drzwi. Odczuł zadowolenie, że dobrze sobie radzi. Drzwi były uchylone, więc wszedł do środka, machając kijkiem. Posłyszał dźwięk tłuczonego szkła i okazało się, że machał zbyt energicznie. Zmienił trochę kierunek i ominął to coś, co rozbił. Przeszedł kilka kroków, nie napotkawszy niczego. Wstyd mu było, że coś potłukł. Trafił na jakiś przedmiot. Schylił się i zaczął macać go ręką. Była to sklepowa waga. Wyprostował się i mocno uderzył o coś ramieniem. To coś aż podskoczyło i znów posłyszał brzęk szkła upadającego na betonową podłogę. Poczuł zapach wina i zorientował się, że zrzucił je z półki. Przestraszył się, że ktoś na niego nakrzyczy. Zrobił jeszcze parę kroków i domyślił się, że nie trafił do sieni, tylko do jakiegoś składziku. Bał się, że znów nabroji, gdyż stracił orientację i nie wiedział, gdzie są drzwi, przez które wszedł. Zwykle w takiej sytuacji otwierał szeroko oczy i rozglądał się. Wtedy tam, gdzie były drzwi, widział jasność. Teraz niestety na dworze było już prawie ciemno. Chodził po składziku, szukając wyjścia. Gdy je odnalazł, okazało się, że drzwi są zamknięte i nie dają się otworzyć. Uznał, że to nie te same drzwi i zdenerwował się jeszcze bardziej. Nadal nerwowo szukał wyjścia, by stąd uciec, nim ktoś go tu przyłapie i skrzyczy. Zrobiło mu się przykro, że jest taki bezradny, że nie może sobie poradzić z tak prostymi sprawami. Zaczął płakać, drepcząc po

pomieszczeniu. Na szczęście przypadkowo znalazł wyjście i poczuł ulgę. Teraz chciał jak najszybciej znaleźć się z powrotem u babci. Za chwilę znów szedł wzdłuż budynku, trąc kijkiem o ścianę, ale już w przeciwnym kierunku. Kiedy znalazł się na ulicy, ochłonął znacznie, lecz nie mógł pohamować płaczu.

Przeszedł może ćwierć drogi, kiedy posłyszał, że ktoś idzie obok niego. Krępowano go to, ponieważ domyślił się, iż ktoś widzi jego płacz. Zatrzymał się w nadziei, że w ten sposób pozbędzie się niechcianego towarzystwa.

– A płacz se, płacz – usłyszał kobiecy głos.

Karolek znał ten głos. To była matka Waldka. Przypomniało mu się, że Marek opowiadał, jak matka rozpacza i mówi każdemu, że wszystkiemu jest winien Karol.

– Pan Bóg cię skarał za wszystko, za mojego Waldusia – mówiła teraz z pretensją.

Była tak blisko, że Karolek obawiał się jakichś złych zamiarów z jej strony. Wiedział, że matka Waldka nie lubiła go już dawniej. Kiedyś przyłapała ich obu na paleniu papierosów i poskarżyła w szkole, że to on namówił syna do palenia, a naprawdę było akurat odwrotnie. W ogóle zawsze uważała, że Waldek jest dobry, tylko jest pod złym wpływem kolegów.

– Ja go nie namawiałem, żeby poszedł z nami. On sam chciał – odpowiedział drżącym głosem, ruszając do przodu.

– Tak, nie namawiałeś, a juści. Pan Bóg wi, co robi. Nie na darmo cie pokarał...

Jedyną reakcją ze strony Karolka było przyspieszenie kroku i energiczniejsze machanie kijkiem. Opanowała go bezsilna złość. „Jak ona może, głupia baba, przecież go nie namawiałem, sam się wyrwał do wszystkiego... Żeby ją diabli wzięli, podłaj babę” – pomyślał i jeszcze bardziej przyspieszył.

Karolek już nie płakał. Był tylko zdenerwowany i zły na siebie, że niepotrzebnie w ogóle wychodził z domu. Zwolnił, ponieważ spodziewał się na swojej drodze drzewa, które trzeba będzie ominąć. Nadal energicznie machał kijkiem. Było mu gorąco, mimo że na dworze panował lekki chłód. Niepowodzenie wyprawy do Pawła jeszcze bardziej zniechęciło go do wychodzenia z domu. Przesiadywał w kuchni, a gdy babcia nalegała, żeby gdzieś

poszedł, to mimo panującego już jesienno chłodu przenośli się do swej „bazy” przy oborze.

W końcu listopada, gdy na dobre dokuczyła mu beczyność, w dodatku w „bazie” nie dawało się już wytrzymać z powodu chłodu, postanowił coś robić. Słyszając, iż dziadek wybiera się do stodoły naciąć sieczki, zaproponował, że on to zrobi.

– Nie dasz rady – odpowiedział dziadek z lekceważeniem.

– Ha! Młodszy byłem i ciąłem – odpowiedział z jeszcze większym lekceważeniem.

– To próbuj. Ja tam wiem, że nie dasz rady – obstawał dziadek przy swoim. Karol, nie oglądając się na nic, wstał i wyszedł na dwór.

„Bez prawej ręki nie mógłbym kręcić korbą, ale prawą mam zdrową, a kikutem dam radę popychać” – myślał, idąc do stodoły.

Szedł dziarskim krokiem, omal nie podskakując z radości, że wszystkim pokaże, iż nie taka z niego oferma, jak się dziadkowi wydaje. Babcia tymczasem cichaczem wykradła się z domu i poszła podglądać, jak Karolek będzie to robić, bowiem bała się, żeby gdzieś nie wsadził ręki i nie zrobił sobie jakowejś krzywdy. Ciężko mu było kręcić, bo noże w sieczkarni tępe jak licho, ale jakoś dał radę. Naciąwszy cały pękaty wór, wyszedł ze stodoły i szedł do domu. Nagle usłyszał jakiś szelest przed sobą, za chwilę dziwne tupanie i szuranie, jakieś nieokreślone dźwięki i na koniec jęknięcie babci.

„Co za licho...” – pomyślał i za chwilę potknął się o leżącą babcię i też się przewrócił.

– O, Matko Boska! – zawołała babcia, leżąc i jęcząc. – Oj, moje kolano...

– Co ty wyprawiasz?! – powiedział, podnosząc się z babci.

– Nic, nic. Upadłam i zbiłam kolano – wyjaśniła, sapiąc i próbując wstać.

– Ale co ty robiłaś, dokąd biegłaś? – zapytał zdziwiony i zaczął pomagać jej wstać.

– Ach, nieważne... – odparła zawstydzona.

Babcia powoli podniosła się z ziemi, chwyciła się Karolkowego ramienia i kulejąc, poszła do domu.

– Wiesz, dziadku, co się stało?! – zawołał Karol, gdy weszli.

– Ha, ha! Wiem, wszystko widziałem przez okno – odrzekł, śmiejąc się z babci. – A ty wiesz, co babcia robiła na dworze?

– Co? – zapytał Karolek, ale nim dziadek otworzył usta, babcia zawołała ze złością:

– No, daj spokój, stary! Musisz wszystko rozgadać... Lepiej pomasowałbyś mi kolano!

Usiadła na krześle, położyła nogę na taborecie i kazała masować.

Dziadek, stękając, ulokował się przy babci i zaraz rozległo się rytmiczne szuranie, skrzypienie krzesła i postękiwanie babci.

* * *

Od tamtej pory starał się pomagać w różnych robotach. Dawalo mu to sporą satysfakcję. W czasie, gdy miał jakieś zajęcie, zapominał trochę o swoim nieszczęściu i w ogóle czuł się lepiej. Coraz częściej słuchał też radia. Nie lubił tylko wychodzić poza obręb gospodarstwa. Nieraz miał chęć wyręczyć babcię i pójść po coś do sklepu, ale nie umiał przełamać rozmaitych obaw.

Pewnego dnia, a było to gdzieś tak w środku zimy, w każdym razie na pewno po Nowym Roku, zagadnął dziadka, żeby poszedł z nim do lasu. Dziadek zgodził się chętnie, myśląc, że chodzi o spacer. Karol miał jednak ściśle określony cel i poprosił, żeby pójść w okolicę, gdzie rosły leszczyny. Gdy się tam znaleźli, wyjął z kieszeni scyzoryk i poprosił, żeby dziadek go otworzył. Równocześnie poprosił, żeby wyszukał mu prosty, długi kij leszczynowy, taki jak do wędki. Wycięli go, obcięli boczne gałązki i trochę skrócili.

– Co ty, chcesz łowić ryby? – zapytał dziadek zdziwiony i poruszył węsami.

– Nie, to do chodzenia, jako laska – wyjaśnił z powagą.

– Taki długaśny? Toż to z półtora metra... Laska jest dwa razy krótsza.

– Im dłuższy, tym wcześniej wymacam przeszkodę. Laska jest do podpierania, a to jest do macania... O, widzisz? – powiedziawszy to, zaczął machać kijem dookoła.

– Aaa. Tylko za bardzo nim nie wywijaj, bo jeszcze kogoś zdzielisz – pouczył wnuka z uśmiechem, równocześnie odchodząc na bezpieczną odległość.

– Spokojna głowa, dziadku.

Tego samego dnia po obiedzie oznajmił, że idzie do Dębówka odwiedzić rodziców.

-
- Ty idź, stary, za nim i przy okazji zanieś jajka do Kurmanowskiej, bo pewno jej się kończą – powiedziała babcia, gdy tylko wnuk wyszedł.
 - Zanim naszykujesz, to on będzie daleko – odrzekł dziadek i chwycił za kapotę.
 - Ha, ha. Są gotowe, od rana stoją i czekają na okazję... – wyjaśniła z przebiegłym uśmiechem i wyszła do sieni. – No, ruszaj się – dodała, wskazując mu koszyk.

Karol szedł, wymacując kijem wszystko na bezpieczną odległość. Delektując się nim, machał aż świstało. Po przejściu połowy drogi uznał, że to jest najwspanialszy instrument, przed którym w promieniu dwóch metrów nic się nie ukryje. Będzie można nim błyskawicznie zidentyfikować studnię, pień drzewa, gałąź nad głową, koryto dla kur i chyba także kawałek deski leżący na drodze, nie wykluczając nawet krowiej kupy. Pokonanie drogi nie zajęło mu więcej jak pół godziny. Doszedł do furtki. Swój bezcenny kij oparł pionowo o ziemię i lewym przedramieniem przycisnął do piersi. Mając wolną prawicę, nacisnął klamkę i popchnął furtkę, która otworzyła się jak zawsze ciężko i z przeraźliwym skrzypieniem.

W domu był tylko brat.

- Kto cię przyprowadził? – zapytał zdziwiony.
- Nikt. Jak widzisz, sam się wypuściłem... A co to? Nie ma nikogo?
- No tak. Ojciec jeszcze w robocie, mama poszła do sklepu, a Renata do Agaty. A co mnie tak wypytujesz? Potrzebujesz czegoś? – mówił brat ze zniecierpliwieniem. Karol pomyślał, że Marek stał się ostatnio bardzo ważny. Przecież skończył już szkołę podstawową i od jesieni jeździł do sąsiedniego miasteczka do technikum. Tak że uważał się za dorosłego, na pewno nawet jeszcze bardziej niż Karol. Czasem nawet nie zgadzał się z ojcem, a niekiedy posuwał się do pouczania go. Raz na przykład, widząc, że ojciec ukłonił się weterynarzowi dość nisko, powiedział, że w państwie socjalistycznym nie ma potrzeby czapkowania przed jaśniepaństwem.
- Głupiś – odezwał się ojciec.
- Nie głupiś, tylko mam świadomość klasową, a ojciec nie ma. Partia gwarantuje wszystkim sprawiedliwość i jednakowe traktowanie – pouczył ojca, robiąc mądrą minę.

– No, sprawiedliwość, ino że jak dziadek wiezie świniaki na skup, to zawsze musi brać flaszkę dla kierownika, bo inaczej zaliczy mu do niższej klasy i mniej piniendzy dostanie. Taka jest ta twoja partia i twoja sprawiedliwość... – odparł ze złością.

– To trza z tym walczyć – nie dawał za wygraną.

– A spróbuj, spróbuj. To cie posadzą, że żeś wróg ustroju albo jaki dywersant...

Karol stał przez chwilę, nic nie mówiąc.

– Siadaj, mama pewno zaraz wróci, to się ucieszy, że żeś przyszedł – powiedział Marek.

Karol zrobił parę kroków w kierunku kąta, w którym zawsze stało krzesło.

– Krzesła nie ma. Rozleciało się i ojciec je spalił – wyjaśnił Marek.

– Rozleciało się?

– Tak, ojciec usiadł za mocno i jak ono się rozpukło, to oblał się mlekiem i ze złością wyrzwał nim o podłogę i już nie było co naprawiać. Karol pomyślał, że ojciec był pewno trochę pijany, co zdarzało się ostatnio dosyć często, ale gdy właśnie chciał o to zapytać, usłyszeli tupanie nóg w sieni i weszła mama.

– O, Karolek! – zawołała z radością. – Kto cię przyprowadził?

– Sam się przyprowadził – wyjaśnił Marek, nim Karol zdążył otworzyć usta.

– Coś podobnego! A jak ostatnio byłam u was, to babcia mówiła, że w ogóle nie chcesz wychodzić. Jak to świetnie, że się wybrałeś! – zawołała ucieszona, zdejmując stary kożuszek.

– Może byś coś zjadł? Siadaj, zara ci dam dobrych placków, takich jak ty lubisz! Właśnie przed wyjściem nasmażyłam – nadal cieszyła się jego przyjściem.

Podeszła do niego, ucałowała go w oba policzki i zaczęła go rozpinać.

– Dlaczego nie pomogłeś mu się rozebrać? – zwróciła się do Marka.

– Przecież sam umie – odrzekł brat obojętnie.

Mama zdjęła kurtkę z Karola i patrząc na jego twarz, powiedziała z radością:

– Cieszę się, że tej blizny na twarzy już nie widać tak jak na początku.

Myślę, że jeszcze z rok i prawie w ogóle jej nie będzie. Podprowadziła go do stojącego przy stole krzesła i szybko odeszła do kredensu po placki, ale nagle zawróciła, pytając:

– Ty nie zmarłeś po drodze? Może byś usiadł przy kuchni? – zapytała z troską, bacznie mu się przyglądając.

– Nie zmarłem.

– Na pewno? Bo policzki masz takie zimne...

– Nie, nie – zapewnił.

Mama na wszelki wypadek pogrzebała w kuchni i dołożyła węgla, później wyjęła z kredensu półmisek z plackami i postawiła na stole przed Karolem. Marek, nie czekając na zaproszenie, wziął w palce od razu dwa placki, jakby obawiał się, że brat zje wszystko.

* * *

W miarę zbliżania się wiosny Karol coraz częściej wychodził z domu na dalsze wyprawy, ale zawsze szedł w kierunku Dębówka. Szło się tam przez pola poprzedzielane brzozowymi zagajnikami i kępami młodych sosen, które każdego roku coraz bardziej zarastały piaszczyste pagórki. Na jednym z nich stał stary drewniany wiatrak, który zawsze bardzo intrygował Karola. Wiosna była już w pełni, kiedy postanowił wybrać się w przeciwną stronę niż Dębówek, do lasu. Nie lubił chodzić tamtędy, ponieważ trzeba było iść przez wieś, a on bał się spotkań z ludźmi i bał się ewentualnych rozmów z nimi. Co prawda był raz w sklepie, kilka razy w kościele, ale zawsze z babcią. Nie licząc oczywiście nieudanej wyprawy na urodziny Pawła. Bał się też, że w lesie zabłądzi. Teraz, gdy minął bez mała rok od wypadku, kiedy już ochłonął dobrze po wszystkim, nabrał odwagi, pewności siebie i postanowił wybrać się w tamtą okolicę. Rozważył tę decyzję na różne sposoby i uznał, że po prostu trzeba rano wyjść z domu i cały czas iść tak, żeby słońce świeciło mu w twarz. Gorzej jakby zaszło za chmury i tego właśnie się bał. No, ale postanowił zaryzykować, ponieważ poprzedniego dnia nieprzerwanie była słoneczna pogoda. Prognozy w radiu, którego regularnie słuchał, też były dobre. Rano zapytał, jak wygląda niebo. Było bezchmurne. Tuż przed wyjściem zapytał jeszcze raz i poszedł. Droga była typowo wiejska. Trochę piachu, trochę błota. Środkiem miękka ziemia spulchniana systematycznie przez końskie kopyta. Z obu stron dwa pasy ujeżdżone przez koła. Za wsią z prawej strony brzozowy młodniak.